NIEDZIELA

TYGODNIOWY DODATEK BEZPŁATNY

Nr. 21 Katowice, dnia 1-go czerwca 1930

W imię † Ojca i † Syna i † Ducha Świętego. Amen. Na większą cześć i chwałę Panu Bogu Wszechmogącemu w Trójcy świętej jedynemu, a nam na zbawienny dusz naszych pożytek, czyta Kościół Boży na

niedzielę w oktawie Wniebowstąpienia Pańskiego

LEKCJĘ

z listu św. Piotra, rozdz. IV., wiersz 7—11.

Najmilsi: przetoż roztropni bądźcie i czujcie w modlitwach. A nad wszystko miejcie ustawiczną miłość jedni ku drugim: bo miłość zakrywa wielkość grzechów. Gości radzi przyjmujcie jedni drugie bez szemrania. Każdą jaką wziął łaskę, usługując ją jeden drugiemu, jako dobrzy szafarze rozlicznej łaski Bożej. Jeżeli który mówi, jako mowy Boże: jeżeli który posługuje, jako z siły, której Bóg dawa; aby we wszystkiem był Bóg pochwalon przez Jezusa Chrystusa, któremu jest chwała i panowanie na wieki wieków. Amen.

EWANGELJA

u św. Jana rozdział XV wiersz 26 i 27
i rozdział XVI, wiersz 1—4.

W on czas: Mówił Jezus do uczniów Swoich: Gdy przyjdzie Pocieszyciel, którego Ja wam poślę od Ojca, — On, Duch prawdy, który od Ojca pochodzi, — On o Mnie świadczyć będzie. Wy także świadczyć będziecie, gdyż jesteście ze Mną od początku.

To wam powiedziałem, abyście się nie zrażali. Wykluczą was z bóżnic; przyjdzie nawet godzina, że każdy, kto was zabije, mniemać będzie, że Bogu składa ofiarę. To zaś uczynią wam, bo nie poznali Ojca, ani Mnie. Ja jednak to wam powiedziałem, abyście, gdy nastanie ich godzina, przypomnieli sobie, że o tem wam mówiłem. Tego zaś nie mówiłem wam od początku, gdyż wśród was przebywałem.

NAUKA.

Dlaczego Pan Jezus nazywa Ducha Św. Pocieszycielem? Dlatego, że Duch Św., dając światło rozumowi, a woli moc do pełnienia dobrego, osładza rzeczywiście trud człowieka i czyni mu miłem życie chrześcijańskie. Przecież bez wątpienia walki z przeciwnościami i pokusami z reguły nie są przyjemne i domagają się od człowieka często wielkiego wysiłku. Możnaby wtedy uprzykrzyć sobie pełnienie chrześcijańskich obowiązków. Zapobiega temu Duch Św.: „Nie smuć się, — mówi do duszy, — zachowaj pogodę i wesołość ducha. Nie lękaj się! Zwyciężysz zło! Jakie to słodkie będzie zwycięstwo! A jaka nagroda za walkę! Czas trudu krótki, a życie w chwale niebieskiej wieczne!“ O, jakaż w tem pociecha dla cierpiących i walczących!

To też są pociechą podtrzymywani na siłach Święci Pańscy, Apostołowie, Męczennicy, od tych, co tracili życie w kłach dzikich zwierząt na rzymskich arenach aż do arcybiskupa Cieplaka i księdza Budkiewicza w Moskwie, umieli ze spokojem, co więcej z radością, spoglądać śmiało niebezpieczeństwu w oczy i nie cofali się przed świadectwem krwi dla Pana Jezusa.

O tem właśnie świadectwie mówi Chrystus Pan do Apostołów: Wy świadectwo o mnie dawać będziecie. Świadczyli o Chrystusie nietylko tem, że po Zielonych Świątkach rozeszli się na wszystkie strony świata i głosili naukę o Bóstwie Pana Jezusa i dokonanem przez Niego odkupieniu, i nietylko tem, że cudami i rozlicznemi znakami stwierdzali, posłannictwo swoje i boskość nauki, którą opowiadali, ale przedewszystkiem tem, że dla wiary znosili wszelakie męki, a nawet przypieczętowali swoje świadectwo własną krwią serdeczną.

I na nas ciąży obowiązek dawania Chrystusowi świadectwa mężnem wyznaniem wiary. „Wszelki, który mnie wyzna przed ludźmi, tego i Ja wyznam przed Ojcem moim, który jest w niebiesiech“ (Mat. 10, 33). Dajmy Mu świadectwo przez odrzucanie wszelkich fałszywych nauk, które się zewsząd cisną do nas. Świadectwem naszej wiary niech będzie z naszej strony mężna obrona Sakramentów Małżeństwa, z którego chcą zedrzeć urok sakramentalny, zamieniając je w najpospolitszy kontrakt jak przy kupnie lub sprzedaży. W nagrodę za to Duch Święty stanie się istotnie naszym Pocieszycielem w trudach życia i walkach godziny śmierci.

Wszechmogący, wiekuisty Boże! Daj, abyśmy mieli oddaną Tobie wolę i szczerem sercem Majestatowi Twemu służyli. Przez Jezusa Chrystusa Pana naszego. Amen.

Czuwajcie!

Byłam niedawno u mojej sąsiadki, matki kilkorga dzieci. Przyjęła mnie bardzo serdecznie. Porozmawiawszy trochę o ostatniem zebraniu, na którem byłyśmy razem, zapytałam o dzieci, chcąc się z niemi przywitać. Na prośbę moją zaprowadziła mnie pani N. do pokoju dziecięcego, ale, otworzywszy drzwi, przekonałyśmy się, że jest pusty. „Znów te bąki gdzieś przepadły!“ zawołała p. N. wesoło. „Tak to zawsze bywa; ledwo się odwrócę, już ich w domu niema i szukaj wiatru po polu!“ Na moje pytanie, dokąd też dzieci poszły, dostałam odpowiedź: a kto je tam wie — pewnie gdzie po drodze rozbijają się z jakimi znajomkami. Ale jak będzie czas do stołu, to już się znajdą.

Ta niefrasobliwa odpowiedź zastanowiła mnie i dotąd nie chce mi wyjść z pamięci. Nasamprzód trudno mi zrozumieć, jak matka może dopuścić, aby dzieci wychodziły z domu bez pozwolenia i opowiedzenia się, a po drugie, wciąż o tem myślę, jak p. N. mogła tak spokojnie usiedzieć, nie wiedząc, gdzie jej dzieci przebywają i w jakiem znajdują się towarzystwie! Przecież tyle złego w koło na dzieci czyha, tyle okropnych rzeczy wciąż się słyszy i po gazetach czyta!

A jednak nietylko pani N., ale i inni rodzice, skąd-

łnąd, rozsądni, pobożni i kochający, z dziwną obojętnością, rzecby można nawet lekkomyślnością — patrzą na tę sprawę. Trudno przecież, dzieci trzymać na uwięzi, mówią, człowiek też potrzebuje czasem spokoju w domu, żadnej roboty inaczejby się nie skończyło — co im się tam zresztą ma stać itp. To są takie najzwyklejsze uniewinnienia i wymówki, które jednak nie uwalniają od odpowiedzialności, a odpowiedzialność jest ogromna. Czy jednak rodzice zdają sobie z tej swojej odpowiedzialności sprawę?

Dzieci to radość życia i pociecha i nadzieja, ale równocześnie i depozyt święty, dobro wielkie, z którego kiedyś Pan i Stwórca ścisłego zażąda obrachunku. Zdaj sprawę z włódarstwa twego, powie — może niedługo — Bóg i do ojca i do matki, coście zrobili z duszami, które wam powierzyłem? Boć nie dał Bóg rodzicom dzieci na to, aby się niemi bawili i pysznili, ale na to, by je wychował na ludzi dobrych, którzy po pożytecznem pożyciu na ziemi niebo zamieszkać mają. Jakżeż rodzice cel ten osiągną, jeżeli dzieci długie godziny zostawiają bez dozoru nie troszcząc się, w jakiem przebywają towarzystwie i na jakie wpływy są narażone?

Prawda — sprawować taką ciągłą pieczę nad dziećmi to rzecz niełatwa dla matki — tak dla tej, która na chleb pracować musi jak i tej, co o byt swej rodziny spokojna — od udziału w społecznem i towarzyskiem życiu uchylać się nie może. A jednak to jest jej obowiązek — trudny, ale nie przechodzący sił, bo Bóg, nakładając ciężar, daje zawsze moc potrzebną i nie szczędzi łaski, byle o nią prosić. Nie chodzi też przecie o to, aby krok w krok za dzieckiem chodzić i śledzić je jak policjant, albo trzymać je wciąż przy sobie, — wcale nie; niech jednak dzieci nauczą się od najmłodszych lat nie opuszczać domu bez pozwolenia. I 16-letniemu chłopcu i 18-letniej córce korona z głowy nie spadnie, jeżeli opowiedzą się matce, wychodząc, wymaga tego poprostu dobry obyczaj, aby matki nie narażać na próżne czekanie i niepokój. Tam też, gdzie matka umiała sobie zaskarbić zaufanie dzieci, tak, że im prostą potrzebą serca jest podzielenie się z nią tem, co widziały, co im opowiadano, co zamyślają, tam i dorosła nawet córka nie będzie robiła, jak to nieraz bywa obrażonej miny, gdy ją matka zapyta, dokąd wychodzi, lub gdy wracają, zagadnie, jak się bawiła u koleżanki.

Wychowanie w prawdomówności i zdobycie zaufania dzieci ogromnie ułatwiają matce tę pieczę tak ważną i konieczną a niewątpliwie uciążliwą. Wolno jej też przecie wyręczyć się i poszukać sobie pomocy, byle odpowiedniej i sumiennej. Ale tu nieraz grzeszą matki bardzo. Delikatną koronkę czy bluzkę same piorą, aby jej nie powierzać rękom niedoświadczonej i niedość uważnej dziewczyny; suknię lepszą wolę dać do droższej krawcowej do roboty, aby nie zniszczyła czasem pięknej gabardyny — ale dziecko niewinne i wrażliwe jak wosk — ten drogocenny materjał przez samego Stwórcę im dany, powierzają często pierwszej z brzega osobie, zadowalając się, że dość porządnie wygląda, że prędka jest i niewymagająca. Dużoby się dało na ten temat powiedzieć!

Pewna matka powiedziała mi, że skoro modli się za dzieci swoje i stara się im dawać dobry przykład — to chyba dosyć. Nie — to jest dużo, bardzo dużo, ale to nie dosyć. Chrystus Pan mówi: Czuwajcie i módlcie się. Owa matka za późno przekonała się, że podczas, gdy ona przebywała w kościele, córka jej, zostawiona sama sobie — weszła na złą drogę.

Dziecko musi mieć nad sobą opiekę ciągłą — nie krępującą godziwej swobody, nie śledzącą nieufnie każdego kroku, ale czujną i przezorną, czujną przez miłość, przez znajomość życia i jego niebezpieczeństw.

Nie wolno matce powiedzieć: nie wiem, gdzie jest dziecko moje. Matka musi znaleźć czas i sposób, aby dziecko nie było zostawione samo sobie. Czuwajcie i módlcie się — nakaz jest wyraźny i w całości wypełniony być musi. O tem nam rodzicom pamiętać trzeba, aby przy obrachunku, który żadnego z nas nie minie, te godziny, spędzane przez dzieci nasze w niewiadomy nam sposób, nie zaważyły kiedyś ciężko na naszem sumieniu. *R. E.*

Dzwon i skrzypce.

Stara legenda alzacka.

W pośrodku gór Wogezów znajduje się cudowne jezioro, podobne do tajemniczej nazwy. Zwierciadło wody, ciemne, czyste, spokojne zachwyca przechodzącego wędrowca. Jeżeli jednak podróżny nachyli się nad przeczystą taflą i natęży ucha, wówczas posłyszeć może przeciągły i żałosny dźwięk dzwonów, bijących gdzieś w głębinach wodnych.

* * *

Przed dawnemi laty w miejscu tem wznosiła się wioska ludna i bogata. Mieszkańcy jej, ludzie uczciwi, lecz bardzo dumni ze swych dostatków, łatwo ulegali pokusom, które nęcą każdego bogacza. Zdawali sobie jednak sprawę z swej ułomności i chcąc w modlitwie szukać ratunku, postanowili nigdy, przenigdy nie opuścić niedzielnego nabożeństwa.

Zdarzyło się razu pewnego, a było to właśnie uroczyste święto, Jana Chrzciciela, — że na drodze, wiodącej do wsi, ukazał się nieznany muzykant dziwnej bardzo postaci. Wysoki był i chudy, przybrany w kaftan czarny, na głowie miał kapelusz filcowy, ozdobiony czerwonem piórem. Szedł wielkiemi krokami, a pod połą opończy trzymał ukryte skrzypce.

U wejścia, do wsi, tuż u stóp gór, rozciągała się łąka, porosła bujną, puszystą trawą, usiana jaskrami, firletkami i zawilcami o płatkach śnieżnej białości i różowych pręcikach. Na łące siedziała gromadka młodych mężczyzn i kobiet, gwarząc wesoło. Nieznajomy zatrzymał się przed wieśniakami i nie mówiąc ani słowa, wyciągnął skrzypce z ukrycia.

I począł grać taneczną melodję tak ognistą, a tak słodką, tak rzewną, a zarazem tak porywającą, że kobiety mimowoli zaczęły nogą takt dawać.

Jeden z najmłodszych parobczaków uśmiechnął się, podał rękę sąsiadce i pociągnął ją do tańca. Poczęli się kręcić niemal na miejscu. Za tą pierwszą parą stanęła druga, potem trzecia.

Muzyk nie patrzył na tańczących. Zdawał się grać dla samego siebie, ale skrzypce zabrzmiały czarodziejską muzyką, która przenikała słuchaczy i zmuszała ich do pląsów.

Niebawem wszyscy co do jednego tańczyli ochoczo. Nadeszli ze wsi starsi ludzie, zdziwieni mocno, gdzie to młodzież tak długo się zabawia. Ich także oczarowała muzyka, a zaraźliwy przykład pociągnął ich do tańca.

— Cóż wy tu wyprawiacie? — a już zaczarowana muzyka wciągnęła ich do koła.

Melodje taneczne, które muzykant o twarzy

jastrzębiej wygrywał bezustanku, dziwne były nad wyraz. Niby to ucho słyszało je poraz pierwszy, a tymczasem nogi poruszały się według nieznanego rytmu ze sprawnością przedziwną.

Rozległa łąka, obramowana ze wszystkich stron lasem, była podobna do cudownej sali budowlanej; pary krążyły swobodnie; każdy bawił się dla siebie i przyczyniał się zarazem do ogólnego upojenia.

Wtem rozległ się głos dzwonu, wzywający wiernych na mszę świętą.

Kościste palce grajka mocniej ujęły rękojeść skrzypiec, a smyczek, pomykający po strunach, zagrzmiał melodją tak huczną i namiętną, że na dźwięk dzwonu kościelnego nikt nie zwrócił uwagi.

Nadbiegli ze wsi ludzie w wieku podeszłym.

— Pierwszy raz dzwonią na sumę. Chodźcie prędko!

Muzyk schylił głowę, by ukryć blask, bijący z oczu. Rozdzwoniły się teraz skrzypce ozdobną, skoczną melodją, która zdawała się modlić ze śmiechem:

— Ba! to pierwsze dzwonienie dopiero! Czasu mamy dosyć, by dokończyć tańca. Kościół nie ucieknie! Zatrzymamy się, gdy dzwony po raz drugi uderzą.

Więc tak uspokoiwszy sumienie, starsi gospodarze i gospodynie poszli w tan poważny. Ciekawi bowiem byli niezmiernie, co też to za dziwny czar muzyki trzyma młodych na uwięzi.

— Spróbujmy, czy jeszcze tańczyć potrafimy! — mówił stary wieśniak do żony.

Okazało się, że nie tylko kroków tanecznych nie zapomniał, ale owszem z każdą chwilą lepiej wywijał.

Po raz drugi zabrzmiały dzwony. Skrzypce jak by zaśmiały się i zadźwięczała się nowa melodja taneczna, taka dziwna, taka ochocza, tak porywająca, że nikt z pląsających nie pomyślał, o nabożeństwie, które lada chwila miało się rozpocząć.

W onym momencie zjawił się na łące najstarszy w gminie człowiek, mąż bogabojny i przez wszystkich bardzo szanowany. Jak uosobnienie głosu sumienia stanął przed tańczącymi.

Po raz pierwszy skrzypek zdawał się spostrzegać, co się naokoło niego dzieje. Nie przestając grać, pochylił się bardzo nisko, na znak szacunku i zaczął melodję starego tańca, bardzo poważnego i dostojnego. Zdumiał się starzec... Widmo młodości stanęło mu przed oczyma. Nie też to właśnie melodję grano w dzień jego wesela?!

Tancerze posłuchali nakazu instrumentu i jak potrafili, zawiedli ów taniec starożytny, który oddawna już we wsi poszedł w zapomnienie.

Patrzył na nich starzec z politowaniem. Naprzód próbował im radzić. Potem, chcąc by lepiej wskazówki jego zrozumieli, postąpił parę kroków, wreszcie ujął za rękę młodą dziewczynę i poszedł w taniec.

A z tak wielką uwagą przypatrywali się wszyscy dziwnemu widowisku: zmartwychwstałemu tańcowi pradziadów, że nie posłyszeli trzeciego dzwonienia.

I stała się rzecz niesłychana! Dzwon zabrzmiał po raz czwarty!

Dzwon poważny i święty mówił:

— Czynię wszystko, co jest w mej mocy, byście mnie słuchali. Duch zły was kusi. Zerwijcie węzły! Powróćcie do rozumu! Opamiętajcie się! Powróćcie do mnie!

A skrzypce odpowiadały:

Życie mija, jak dzień! Dzień mija jak chwila! Więc korzystajcie z chwili! Zapomnijcie o wszystkiem, nawet o szczęściu, nawet o radości! Najwyższa rozkosz to zapomnienie.

I znowu dzwon zajęczał boleśnie:

— To ja, wasz przyjaciel najbliższy... Ja dzwoniłem przy waszym chrzcie. Dzwoniłem, gdy grzebano waszych najbliższych, chciałem i wam zadzwonić, gdy w Bogu umierać będziecie. Posłuchajcie mnie przez litość dla samych siebie! Strzeżcie się! Przepaść u waszych stóp.

— Pod waszemi stopami — odpowiadały skrzypce — kwiaty rozdeptane roznoszą woń cudowną. Nad waszemi głowami — poprzez gałęzie drzew — prześwieca cudowne niebo. Jeśli się oddacie tańcowi, na nic niepamiętni, doznacie szczęścia bez granic. Oto prawda jedyna. Wszystko inne to przesąd.

Kilku tancerzy próbowało ujść z koła, ale przenikliwe tony skrzypiec zawróciły ich z drogi, jak psy pasterskie zapędzają owce z powrotem do stada. Oblicza dziewcząt, płonące przed chwilą gorączkowym rumieńcem, pokryły się teraz śmiertelną bladością. W oczach mężczyzn błyszczała jakby iskierka tego samego ognia, który buchał z oczu muzykanta. A muzykant ów tymczasem końcem stopy wybijał takt miarowo, triumfalnie.

— Strzeżcie się! — zawył nagle dzwon. — Zapadacie się w przepaść. Patrzcie naokoł siebie. Nie widać już szczytów sosen. Patrzcie. Na pagórkach widnieją tylko korzenie drzew, wyrwanych z gruntu. Ziemia się zapada! Uciekajcie!

— Co tam plecie ten gaduła? — odpowiadały śpiewnie skrzypki. — Szczytów gór nie widzicie, bo w szale tańca słodkie odurzenie wzrok wasz mgłą zakryło. Kilka drzewek zostało wyrwanych z korzeniami, bo pod rytmicznym krokiem pięknych tancerek ziemia zadrżała radośnie.

W tem ozwał się grzmot, ale grzmot ów nie z niebios pochodził. Zapadła się ziemia. Woda szumiąc zalała łąkę.

* * *

Wmiejscu tem lśni dzisiaj tafla jeziora. Woda jego lodowata i przeczysta, a tak głęboka, że czarną się wydaje. Powiadają rybacy, że jezioro to wcale dna niema i napróżno zarzucają sondę; dna dosięgnąć nie mogą.

Gdy dzień jest pogodny, widać w wodzie u brzegu jakieś cienie ruchliwe, które kręcą się naokoło pióra czerwonego, podobnego do płomienia.

Jezioro zewsząd otoczone jest wspaniałemi sosnowemi borami, w których niema żadnej żywej istoty.

W wodzie dziwnego jeziora żyje mnóstwo ryb. Między niemi uwijają się dwa olbrzymie pstrągi, ze starości mchem porosłe, dobrze znane rybakom, nadaremnie na nie czatującym. Jeden z owych pstrągów ma na grzbiecie wizerunek dzwonu, drugi — znak, skrzypce przypominający.

Tak umierają.

Obrazek z życia.

Anielka była ich ostatnią córką. Tamte trzy poumierały w kwiecie wieku. W niej więc skupiły się wszystkie rodzicielskie dumy i marzenia i pieszczoty i błogosławieństwa.

Teraz i ona leżała powalona tą straszną chorobą.

Matka przesunęła ją do najpiękniejszego pokoju. Leżała w bielutkiem łóżeczku, ubranem różowym muślinem i różowemi wstążkami. Na śnieżnej bieli poduszek odcinała się jej drobna twarzyczka z wielkiemi płomiennemi oczami. Dookoła niej krzątały się matka i przyjaciółki i wszystko, co otaczało chorą, było wyrazem ich tkliwej miłości dla niej .

Wiedziały, że niema już żadnej nadziei. Ale ból serdeczny ukrywały za pogodnym uśmiechem, wiedząc, jak bardzo chora pragnie, by nie cierpiała z powodu niej. Tylko ojcu raz po raz zakręciły się łzy w oczach, gdy po pracy przystępował do niej. Ostatnie dziecko!

Na początku tygodnia wypadła mu podróż na wieś. Miał zamówienie korzystne, nie mógł pozwolić sobie na odrzucenie propozycji, choć serce krajało się na myśl, że może już jej nie zastanie.

Pożegnał się tedy.

— Poczekaj na mnie, córuchno — rzekł, patrząc miłośnie na bielutką twarzyczkę chorej. W sobotę wrócę.

Na pogodnych rysach Anielki zakwitł przedobry uśmiech.

— Toż to nie odemnie zależy, tatusiu, — powiedziała szeptem prawie. Ja chciałabym umrzeć w czwartek. Ale będę się modliła do św .Teresy. Niech i tatuś się pomodli.

Wyglądała prawie radośnie. Oczy płomienne jakby patrzały już w tamten świat. Na cichych ustach, był słodki wyraz zupełnego poddania się woli Bożej. Dla otoczenia miała zawsze wdzięczny uśmiech. Nie narzekała nigdy — smuciła się tylko i wyraz przykrości legł na twarzy, gdy widziała łzy w oczach najbliższych. Ukrywali tedy przed nią te łzy.

Modliła się więc o przesunięcie godziny śmierci, i czekała powrotu ojca.

Jakaś słoneczna tęsknota błąkała się w jej duszy. Zobaczy może św. Teresę, którą tak uwielbiała...

Jak to będzie? Toż ta chwila już taka bliska... Trza będzie pożegnać ziemię. Te oczy zamknąć na słońce i na widok ukochanych...

Ale otworzyć na inne widzenie...

Może Pan Jezus weźmie za rękę i zaprowadzi tam...

Ale zostawić ukochanych...

Ach, może na krótko! I czemże jest czas dla tych, którzy nie mierzą już dni wschodem i zachodem słońca — dla dusz w ojczyźnie niebieskiej.

Porwał ją nowy atak bólu. Jak zawsze w takich chwilach — wpatrzyła się w Chrystusa na krzyżu nad łóżkiem i przetrzymywała bohatersko, bez jęku.

— Za grzechy moje i cudze — szeptała, usiłując uśmiechnąć się poprzez łzy.

Gdy minął szkaradny ból, zapadła znowu w swe słodkie marzenia.

Na chwilę ogarnął ją niepokój. A może — za te błędy — za te chwile niecierpliwości i inne. — Ale jakiś anioł dobry odganiał precz te cienie.

— Dziecko! Ufajże! Bóg dobry! Bóg Ojciec! Wszak zawsze chciałaś służyć Jemu.

I znowu utonęła dusza w blaskach słonecznych.

Ojciec wrócił w sobotę rano.

— Widzisz tatusiu! Czekałam na ciebie!

W godzinę później zaczęła się agonja...

Umierała zupełnie świadomie. Szeptem wypowiadała ostatnie życzenia, dotyczące pogrzebu. W białej sukience chcę być, z wieńcem we włosach, w rękach krzyż — ten, który wisi nad łóżkiem.

Żegnała się czule, obiecywała pamiętać o wszystkich na tamtejszym świecie, dziękowała rodzicom, przyjaciółce...

Potem stał się wzrok tak inny, taki wiedzący... Wśród szeptów modlitw klęczących dookoła rodziców i przyjaciółki i księdza przeszedł w złotych blaskach słońca, którego promienie na chwilę zalały cały pokój — przeszedł Anioł śmierci.

Ksiądz, który przez cały czas agonji siedział obok niej, wracał wzruszony i zamyślony ciemną ulicą. Tak umierają ludzie... Tyle innych śmierci widział.. Potem rozmyślał o świętych, o których świat nie wie...

Marja Niesiołowska.

W Sercu Jesusa ratunek.

Kiedy Kościół w pierwszych wiekach jęczał pod jarzmem pogańskich cesarzy, pokazał się chrześcijańskiemu monarsze wysoko w chmurach krzyż; był to znak, a zarazem i przyczyna przyszłego świetnego zwycięstwa. Dziś staje przed nami drugi taki Boski znak: słodkie Serce Jezusa, uwieńczone krzyżem, w morzu płomieni błyszczące. Temu Sercu całkowicie zaufajmy; od Niego ratunku ludzkości oczekujmy i o ten ratunek Je prośmy. Tak pisze Ojciec święty Leon XIII.

Złote myśli.

Bóg sam postać stworzenia na siebie obleka
Ażeby upadłego podźwignąć człowieka.

Z głębi serca pochodzą złe myśli i żądze,
Dlatego zamknij serce na wszystkie wrzeciądze

Kto nie wie, co to boleść smutek i cierpienie,
Ten także nie rozumi, co to poświęcenie.

Jeżeli chcesz rozumieć, co to miłość Boża,
Stań na górze Golgocie u krzyża podnoża.

Nie bądź pysznym, bo Pan Bóg strasznym przeciwnikiem
Pychalców z głupim językiem.

Nie bądź pysznym, bo pysznych,
Pan Bóg karać musi.

Wszystko upada pod kosą śmierci, prócz cnoty.
Stanisław Potocki.

Moi kochani, niech wam te rady w życiu posłużą:
„Lepiej czynić dobrego dużo — niż wiedzieć dużo!“

Piękna, dobra wymowa jest to kwiat wspaniały,
Piękny, dobry uczynek owoc okazały.